

Krystyna Wojtowicz, z d. Nowicka  
(Kraków, krystyna\_wojtowicz@poczta.onet.pl)

## DZIECIŃSTWO W CZASIE WOJNY\*

Spokojne życie najwcześniejszego dzieciństwa, w dostatniej i kochającej się rodzinie, przerwał wybuch wojny. Mieszkaliśmy w Toruniu. Właśnie skończyłam 7 lat i od września miałam iść do szkoły.

Jeszcze latem, słuchając rozmów dorosłych, odczuwałam jakiś niepokój. Mówiono o wojnie, wspomniano tę sprzed wielu lat, co napawało obawą, prędko jednak zapominało się o wszelkich niepokojach, wystarczyło zająć się własnymi sprawami. Mama – Władysława Nowicka z d. Pawlak, aktywna działaczka społeczna, zwoływała sąsiadów z kamienicy i urządzała jakieś pogadanki i szkolenia. Była tam mowa o maskach przeciwgazowych, oklejaniu szyb pasemkami papieru, schodzeniu do piwnicy w razie ogłoszenia alarmu i różnych innych dziwnych sprawach, które zaciekawiały, ale jakoś specjalnie nie straszyły. Byłam bardzo dumna, gdy dostałam własną maskę przeciwgazową, taką samą dostała starsza siostra Stefania (Tita – 8,5 l), dwie młodsze Danuta (Danka – 6 l) i najmłodsza Bogumiła (Miłka – 3,5 l), miały zadowolić się jakimiś tamponami z gazy!

### 1 września 1939, wojna

Obudziłam się jak zwykle i poszłam do jadalni. Tam usłyszałam, że wybuchła wojna. Siedząc na krześle pogrzyżłam się w niepokojących myślach. Wyobrażałam sobie, że wojna to tylko jeden pełen niebezpieczeństw dzień: „niech więc ten dzień szybko przeminie i znowu zapanuje spokój, najlepiej byłoby go przespać!” Trudno jednak przespać 5 i pół roku.

Wojenne przygody zaczęły się od ewakuacji. Firma elektryfikacyjna „GRÓDEK”, w której pracował ojciec – Leon Nowicki, dostała polecenie opuszczenia Torunia. Pracownikom pozwolono zabrać rodziny. Pamiętam, że czekając na podstawienie samochodów, kryliśmy się za jakimś murem, bo akurat zawyła syrena alarmowa. Na niebie krążyło kilka samolotów<sup>1</sup>.

---

\* Przepraszam wszystkich, którzy będą czytać te wspomnienia. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że to co piszę to przeżyło, zapamiętało i odczuło małe dziecko.

<sup>1</sup> Po wojnie polski pilot Stanisław Skalski opisywał swą powietrzną walkę w obronie toruńskiego mostu w pierwszych dniach września – może to jego samolot wówczas obserwowaliśmy?

Evakuowano się samochodami ciężarowymi w kierunku Warszawy. Drogi były ostrzeliwane przez niemieckie lotnictwo, wtedy należało opuścić samochody, ojciec przy nich pozostawał, my kryliśmy się gdzie tylko się dało. Raz były to bruzdy jakiegoś kartofliska, a nisko krążące samoloty ostrzeliwały pole z karabinów maszynowych. Obsypywał nas piasek, bo pociski padały bardzo blisko. Potem zawsze twierdziłam, że Matka Boska okryła nas swoim płaszczem. Wierzę w to do dzisiaj. W innym przypadku schronienia udzielił las, potem wysoka kukurydza i mama zdjęła mi czerwone kokardki z włosów, twierdziła, że pilot mógłby je dostrzec. Dziwiło mnie to: *bo jak mógłby cokolwiek zobaczyć z tak wysoka?* – ale ona wiedziała lepiej. Noclegi wypadały po różnych chałupach. Dnie były ciepłe i słoneczne. Kiedyś wybiegliśmy w pole w towarzystwie dzieci gospodarzy. Wywołało to przerażenie dorosłych, bo samoloty ciągle krążyły i ostrzeliwały wszystko co się rusza, a nam się wydawało, że jesteśmy na lotnisku.

Po trzech dniach dotarliśmy do Warszawy. Nie planowano zatrzymywania się w stolicy. Niestety było to na jeden dzień przed całkowitym jej okrążeniem i już nie można było się wydostać. Na ul. Marszałkowskiej firma „GRÓDEK” posiadała wielki dom handlowy i tam zakwaterowano przyjezdnych. Piwnice posiadały obszerne magazyny zastawione regałami, na których urządzono miejsca do spania. Przebywało tam wiele osób. Podczas bombardowań gorąco modlono się i po raz pierwszy dotarła do mnie treść modlitwy „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko...”. Dotąd mam w oczach scenerię i te gorące modły. Panował głód. Ojciec z towarzyszącą nam starszą kuzynką Janką Rybakówną z Chojnic wychodzili i z wielkim poświęceniem próbowali zdobyć nieco żywności. Na tak liczną rodzinę zawsze było tego zbyt mało. Dla pocieszenia projektowałyśmy menu posiłków po powrocie do domu. Któregoś dnia dostałam wysokiej temperatury z majaczeniami. Przebywający z nami ludzie zażądali, aby oddano mnie do szpitala, bano się zakaźnej choroby. Rodzice się nie zgodzili, tylko ojciec wyniósł mnie z podziemia na górne kondygnacje. Pamiętam nawet treść majaczeń, głównie swoją lalkę – Michaś, którą tak nazwałam na cześć kolegi z przedszkola, widziałam ją wysoko zawieszoną nad łukowym wejściem do sali, w której leżałam. Kiedy się ocknęłam zobaczyłam ojca siedzącego w towarzystwie kilku panów, ja leżałam na zestawionych krzesłach czy fotelach. Na szczęście niebezpieczeństwo szybko minęło i mogłam dołączyć do reszty rodziny. Tu mało istotny szczegół, który jednak zaważył na moim stosunku do papierosów. Siedziałam na kolanach młodziutkiej siostry mamy, ciotki Helenki Pawlakówny, a obok siadł równie młody inżynier i opowiadał jej o swoich przygodach, kiedy usiłował się wydostać z Warszawy, palił przy tym papierosy. Było mi bardzo niedobrze, zaczęłam kręcić się i ka-

słać. Ciocia odwróciła mnie plecami do niego, zapewne sądząc, że jakoś to mnie ochroni przed dymem – nie pomogło, nadal cierpiałam przez te papierosy. To wspomnienie towarzyszy mi dotąd, nigdy nie mogłam zaakceptować papierosowego dymu, mimo, że moja mama dużo paliła.

Dorośli ciągle słuchali komunikatów radiowych, często słychać było ostrzeżenie: – *Uwaga, uwaga – nadchodzi...*

Pewnego dnia pocisk artyleryjski (a może bomba) uderzyły w sąsiedni dom, który stanął w płomieniach. Należało opuścić dotychczasowe schronienie. Podczas nocnej wędrówki, na ciemno granatowym czystym niebie co chwilę pojawiały się ogniste ptaki i tylko huk armatni zwiastował, że Niemcy ostrzeliwiają Warszawę przez całą noc. Nigdzie w pobliskich domach nie chciano nas wpuścić, wszędzie panował tłok, wędrówka trwała dość długo. Wreszcie w jednym z domów, w którym ojciec miał znajomych, wpuszczono nas po zapewnieniu, że nie zostaniemy w bramie, ale pójdziemy dalej. Przy okazji wpuszczono też mężczyznę, któremu uprzednio odmówiono schronienia, był już tak zmęczony, że przykucnął na zewnątrz w kąciku. Obszerny hol wjazdowy był szczelnie wypełniony ludźmi. Dzieci podawano sobie z rąk do rąk, nad głowami, dorośli przepychali się z trudem. Dobrze pamiętam tę napowietrzną wędrówkę, natomiast nie pamiętam już kiedy i jakim cudem znaleźliśmy się w piwnicy. Nad ranem w bramę, którą przeszliśmy, uderzył pocisk artyleryjski. Wiele osób zginęło, w tym człowiek wpuszczony razem z nami. Przez resztę dni oblężenia naszym domem był ciemny kącik, a wokół mnóstwo ludzi. Wreszcie któregoś dnia zapanowała zaskakująca cisza. Zjawiła się ciocia Helenka, która z babcią przebywała w hotelu. Przyniosła hiobową wiadomość: – *Warszawa się poddała!* Nie chciano wierzyć. Ludzie zaczęli krzyżeć, że to nieprawda, że sieje panikę. Niestety wkrótce przekonano się o jej prawdziwości.

Oblężenie się skończyło, do stolicy weszli Niemcy, a my mogliśmy się przenieść do małego pokoiku, w którym był tylko tapczan. Spaliśmy na nim w poprzek w siedem osób. Pozostałe obszerne pokoje zajmowała jakaś rodzina, zdaje się, że nie byli to właściciele mieszkania, tylko ich krewni. Główni lokatorzy opuścili Warszawę jeszcze przed oblężeniem. W rodzinie tej był mały chłopczyk. Kiedyś wszedł do naszego pokoiku trzymając w ręku kawałek razowego chleba posmarowanego masłem. Patrzyłam na ten chleb jak urzeczona i wrażenia jakie odczuwałam w tym momencie zawsze mi towarzyszą, kiedy widzę taką kromkę. Wody nie było, bardzo cierpieliśmy z tego powodu. Kiedyś, pani mieszkająca w drugim pokoju, ofiarowała mamie szklanek wody żeby mogła się trochę umyć, była jej za to bardzo wdzięczna. Nie pamiętam jak długo pozostaliśmy jeszcze w Warszawie, pamiętam tylko wędrówkę przez zburzoną Warszawę na Stare Miasto, gdzie mieszkał brat ojca stryj Cze-

sław Nowicki. Przechodziliśmy przez Plac Zamkowy, przed którym stała kolumna Zygmunta<sup>2</sup>. Mama podczas tej wędrówki przez zburzoną Warszawę płakała: – *Dlaczego, przecież bombardowania się skończyły?* W domu stryja zastaliśmy drugą babcie, mamę ojca Helenę Nowicką i jego siostrę Izabelę Gorgolewską z rodziną, i tylko tyle z tej wizyty pamiętam.

Wracając do Torunia jechaliśmy ciągle psującymi się samochodami, nasze zostały zarekwirowane przez wojsko. Podczas pierwszego postoju wygłodzeni ludzie rzucili się na pole z marchwią, nie pytając właścicieli czy wolno! Wybiegł gospodarz z pretensjami, kiedy, jednak dowiedział się, że przeszliśmy oblężenie Warszawy już nic nie mówił. W pierwszym miasteczku były otwarte sklepy dość dobrze zaopatrzone. Ojciec poszedł i wrócił z naręczem wędlin. Co za radość i zaskoczenie. Zapewne ludzie od razu wykupili cały sklep? Pamiętam jeden nocleg, wszyscy, łącznie z pozostałymi pasażerami, spaliśmy pokotem na słomie. Wreszcie po kilku dniach ukazał się Toruń. Wisłę należało przepłynąć łodziami, bo most był uszkodzony. Miasto nie ucierpiało od bombardowań. Mieszkanie było zaplombowane, więc było trochę korowodów z usunięciem plomb, po za tym było okradzione. Ja największe pretensje do Niemców miałam o zaginioną szmatkę, która (przynajmniej tak mi się wydawało) była w wózek z lalką.

Następnego dnia, od samego rana rozlegały się dzwonki do drzwi. Właściciele pobliskich sklepików, w których zawsze zaopatrywała się rodzina, dostarczali produkty lub pozostawiali je pod drzwiami. Mama płakała, a my cieszyliśmy się, że będzie co jeść i to zgodnie z menu ustalonym podczas głodnych dni w Warszawie (mnie też dzisiaj wzrusza to wspomnienie ludzkiej dobroci i solidarności).

Nie pamiętam już kiedy to było, w każdym razie na początku wojny przeprowadziliśmy się z ul. Mickiewicza na ul. Sienkiewicza 16 (w czasie wojny nazywała się *Pestalozzistrasse*). Nie wiem jakie były przyczyny tej decyzji, może dlatego, że nasze mieszkanie było bardzo duże (6 pokoi). Zamieszkaliśmy wspólnie z ciotką Anną Grodzką, której mąż Marian, kuzyn ojca, był jeńcem w oflagu. Zajmowaliśmy dwa bardzo duże pokoje. Dwa mniejsze zajmowała ciotka Anna. Korytarz był 11 m długi. Oddzielało go od następnego mieszkania cienkie przepierzenie, które zajął gestapowiec Greiser, brat Gauleitera Artura Greisera w Poznańskim<sup>3</sup>, publicz-

---

<sup>2</sup> Kiedy po wielu latach odwiedziłam Warszawę, która była już odbudowana, od razu zauważyłam, że kolumna nie stoi na tym samym miejscu co w 1939 r. Potem dowiedziałam się, że została przesunięta o kilka metrów w stosunku do pierwotnego. To jednak dziwne, że wrażenia 7-letniego dziecka tak bardzo mogły się utrwalić.

<sup>3</sup> Ziemiami wcielonymi do Rzeszy: Pomorze, Śląsk i Województwo Poznańskie zarządzali tzw. Gauleiterzy, którzy mieli szerokie uprawnienia, naturalnie zgodnie z ideą i wytycznymi Hitlera.

nie powieszono po wojnie. Cała rodzina spała w jednym pokoju. Szafy tak ustawiono, że utworzył się kącik, w którym mieściło się jedno łóżko. Spałam na nim ze starszą siostrą Titą. Mówiło się, że jest to sypialnia „za szafą pod łóżkiem”. W drugim pokoju, zastawionym meblami z jadalni i gabinetu, spał brat matki – Edmund Pawlak, który całą wojnę mieszkał z nami. Była wielka ciasnota, ale mnie to nie przeszkadzało, przynajmniej nie zamykano nas na klucz, czego okropnie nie lubiliśmy – kiedy tylko orientowaliśmy się, że drzwi są zamknięte, rozlegały się głośne wołania, że chce nam się „siusiu” to był niezawodny sposób na uwolnienie.

### Niemiecka szkoła

Najważniejszym wydarzeniem dla nas dzieci była konieczność chodzenia do niemieckiej szkoły, był to obowiązek i przymus. W razie oporu dzieci były doprowadzane do szkoły przez policję, a rodziców surowo karano. Obowiązek szkolny obowiązywał od 6 roku życia. Podzielono nas na klasy zgodnie z rocznikami. Stefania znalazła się w klasie 3., ja od razu w klasie 2., a Danuta w klasie 1. Jak z tego widać nigdy nie chodziłam do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Zresztą nie miało to większego znaczenia, ponieważ we wszystkich klasach uczono przede wszystkim języka niemieckiego, potem podstaw rachunków i historii hitlerizmu (tak wbito mi do głowy datę urodzin Hitlera, że do dziś gdyby mnie ktoś nocą obudził i spytał o nią to wyrecytowałabym ją po niemiecku: *zwanzigsten April ein tausend achthundert neun und achtzig*). Polskich nauczycieli zastąpiono niemiecką kadrą pedagogiczną. Po polsku nie wolno było mówić, za to bito bez miłosierdzia. Dość szybko nauczyliśmy się tego niemieckiego, choć nie pamiętam jak długo to trwało. Niemcom chodziło o całkowite zgermanizowanie ludności mieszkającej na ziemiach wcielonych do Rzeszy, dlatego nie wolno było używać polskiego języka na ulicach, ani nawet w domach, co oczywiście w zaciszu rodzinnym się nie przestrzegało, za to na korytarzu już należało być ostrożnym. Pamiętam z lat późniejszych, że kiedyś z koleżanką z klasy zaczęłyśmy rozmawiać na ulicy po polsku. Przechodził koło nas jakiś cywil, ostro spytał czy nie uczą nas w szkole po niemiecku i spoliczkował koleżankę, bo właśnie ona coś do mnie mówiła. Zresztą często słyszało się, zwłaszcza na początku okupacji, że chłopcy z Hitlerjugend za to „przestępstwo” bili na ulicy staruszki, które nie potrafiły nauczyć się po niemiecku. Nam dzieciom przyszło to łatwiej. Niemieccy nauczyciele byli zdumieni jak szybko polskie dzieci opanowały język niemiecki<sup>4</sup>.

---

<sup>4</sup> S. Grochowina, *Szkolnictwo niemieckie w procesie germanizacyjnym dzieci polskich na Pomorzu Gdańskim w latach 1939–1945*, w: *Polityka germanizacyjna trzeciej Rzeszy na Pomorzu Gdańskim w latach 1939–1945*, s. 152, 153, Toruń 2007.

Z nauki rachunków zapamiętałam system uczenia nas tabliczki mnożenia. Nauczycielka zadawała pytanie i po kolei każdy z uczniów musiał odpowiadać. Te dzieci, które odpowiedziały źle lub wcale musiały stać i po przepytaniu całej klasy nauczycielka biła je mocno linijką po rękach. Były też inne kary, należało położyć się na krześle i dostawało się cięgi w tylną część ciała. Ta ostatnia kara dotyczyła, jak mi się zdaje, głównie chłopców. Jakoś przez cały okres niemieckiej szkoły uniknęłam bicia. Rachunki nie sprawiały mi większych trudności, oceny z zachowania miałam dobre (*gut*), z mówionego języka niemieckiego też dobrze, z pisania dopiero w ostatnim półroczu 5. klasy w 1944 zasłużyłam sobie na dobrą ocenę, równie dobrze oceniano moją znajomość rachunków, z innych przedmiotów, jak historia hitlerizmu, a także przyroda i geografia, te ostatnie mieliśmy w latach 1943/44, oceniano jako dostateczne (*befriedigend*). W 1942 r. wydano specjalne książeczki: *Zeugnisse der Deutschen Volksschule*, w które wpisywano oceny za każde półrocze, zresztą może wydano je wcześniej, ale ja jakiś czas przebywałam w Wąbrzeźnie u ciotki Helenki, wówczas już Jaworskiej, i tam chodziłam do szkoły. Z lekcji geografii i przyrody nie wiele pamiętam. Wiem tylko, że wychodziliśmy do pobliskiego parku i uczyliśmy się nazw drzew i innych roślin oraz rozpoznawania ziół leczniczych, szczególnie wrył mi się w pamięć dziurawiec, który kazano nam zbierać i przynosić do szkoły. W naszej szkole uczyły się również dzieci niemieckie, ale w osobnych klasach. Spotykaliśmy się podczas przerw na szkolnym boisku, ale nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu. Pamiętam, że intensywnie uprawialiśmy gimnastykę. W szkole często urządzano pokazy gimnastyczne, które podpatrywaliśmy i potem staraliśmy się naśladować. Z zamiłowaniem ćwiczyliśmy podczas przerw szpagaty, stanie na głowie i na rękach. Pamiętam swoją siostrę Titę jak brała udział w takich pokazach. Była najmniejsza w klasie, a jej popisy dla mnie zawsze były atrakcyjne. Do dziś widzę jej figurkę w granatowych spodenkach i białej koszulce, jak usiłowała dotrzymać kroku pozostałym dziewczętom, radziła sobie bardzo dobrze (w/g mojej oceny). Sprowadzano też czasem do szkoły zespoły kukielkowe, które przedstawiały bajki z udziałem kukielki: *Kasperlein*, podobnego do *Pinokia*, miał taki sam długi nos i kolorowe ubranka. Nie pamiętam treści tych przedstawień, zresztą ich nie lubiłam, dawały jednak pewne odprężenie po strachach lekcyjnych. Kiedyś zaprowadzono nas na spotkanie organizacji młodzieżowej Hitlerjugend. Pamiętam ich mundury składające się z czarnych spodni i bluzy koloru khaki – żółtego, z czerwonymi opaskami ze swastyką na rękawie, po za tym pełno faszystowskich flag ze swastykami i ich pieśni: *Deutschland, Deutschland über alles...*<sup>5</sup> i *Die Fahne hoch*,

---

<sup>5</sup> Hymn hitlerowskiej Rzeszy: *Niemcy, Niemcy ponad wszystko...*

*die Reien fest geschlossen...*<sup>6</sup>. To uczestnictwo wywołało strach, że zechcą nas siłą wcielić do tej organizacji. Na szczęście skończyło się na tym i nie nagabywano o wstąpienie do niej.

Próba germanizowania nas nie bardzo Niemcom się powiodła. Panujący wszędobylski strach przed represjami zmuszał do zachowań zgodnych z wymaganiami okupanta, ale nigdy, ani przez moment nie przyjmowaliśmy do wiadomości, że możemy stać się Niemcami. W 1944 oddzielono dzieci, których rodziny nie przyjęły niemieckiego obywatelstwa od dzieci z rodzin z obywatelstwem *Eingedeutsch*. Utworzono tylko dwie klasy: od 1 do 4 i od 5 do 8. Moi rodzice takiego obywatelstwa nie przyjęli, więc znalazłam się w klasie, do której uczęszczały dzieci od klasy 5 do 8, w tej samej klasie była Tita, która uczęszczała do 6, pamiętam, że w 8. był tylko jeden chłopiec. Były to bardzo nieliczne klasy, z tego wynikało jak mało osób odważyło się odmówić przyjęcia niemieckiego obywatelstwa. Naszą wychowawczynią w tym czasie była żona jakiegoś niemieckiego urzędnika, tzw. *Hausfrau*<sup>7</sup>, zapewne nie posiadała przygotowania pedagogicznego i nie wiele od nas wymagała. Jak była ładna pogoda to zgadzała się na nasze propozycje: iść do parku, grać w piłkę na boisku, itp. Nie przypominam sobie, żeby nas biła i nie baliśmy się jej.

Wprowadzono także obowiązek zatrudniania w punktach, gdzie naprawiano i cerowano żołnierskie wełniane skarpety. W tym celu jeździliśmy do pracowni na Rynek Nowomiejski (dziś jest tam duży sklep odzieżowy). Większe dziury naprawiano na drutach, mniejsze cerowano. Nie lubiłam cerować, więc zadeklarowałam, że umiem *sstrykować*, t.j. robić na drutach. Nie bardzo zresztą umiałam, ale szybko nauczyłam się tej sztuki i jeszcze dziś pamiętam jak wyrabia się pięty w skarpetkach. Wszystkie dzieci kradły wełnę, z której były zrobione skarpety. Potem, przez dodanie innej kolorowej włóczki robiło się rękawice, skarpety, szalik. Kiedyś, któraś z instruktorek urządziła kontrolę przy wychodzeniu z pracowni. U jednej z dziewczynek znalazła taką kontrabandę, odebrała jej, ale nie przypominam sobie, żeby były jakieś następstwa z tego tytułu. Wydaje mi się, że instruktorkami były Polki, ale tego nie jestem pewna.

### Życie i kłopoty wojenne

W kamienicy przy ul. Pestalozzistrasse 16 w większości mieszkali Polacy. Obok nas, na 2. piętrze, jak już wspomniałam, mieszkał Greiser z żoną, ojcem i szwagierką – pianistką, z tego powodu należało wystrzegać się mówienia po polsku na korytarzu. Poniżej nas, mieszkała pani Wagnerowa z dorosłą córką, u niej została zakwaterowana niemiecka ro-

---

<sup>6</sup> Nacjonalistyczna pieśń partyjna: *Sztandary wysoko, szeregi mocno zwarte...*

<sup>7</sup> Gospodyni domowa.

dzina, był tam przynajmniej jeden chłopiec. Nie pamiętam kto mieszkał obok niej na 1. piętrze<sup>8</sup>. Na parterze mieszkali Polacy, nazwisk też nie pamiętam, a na ostatnim 3. również Polacy: pp. Zółkowscy z córką dużo od nas starszą (nad nami) i obok pp. Modrzejewscy z dwoma synami Stefanem i Henrykiem oraz najmłodszą córką Heleną (Lala), która była naszą rówieśniczką, chodziła ze mną do jednej klasy, u nich mieszkali różni Niemcy. Stefan szybko znikł, o czym mało się mówiło. Zresztą nie bardzo mnie to obchodziło, bo dla mnie był to mężczyzna już dorosły. Obok nich, z obu stron były strychy.

Mieszkanie nasze było tzw. domem otwartym. W domu zawsze bywało wiele osób: krewnych, sąsiadów, znajomych i coraz to nowych „znajomych”. Magnesem ich przyciągającym była mama. Mimo ciężkich warunków materialnych, umiała dzielić się ze wszystkimi potrzebującymi, jeśli nic innego w domu nie było – to czarnym chlebem z tzw. *Breutaufstrich'em*, była to marmolada z buraków dostawana na kartki, która szybko fermentowała. Szczególnie jedna cecha mamy przyciągała wszystkich – wróżyła z kart. Miała niezwykle rozwiniętą wrażliwość i intuicję, mogła by być świetnym medium. Tymi wróżbami podnosiła ludzi na duchu, choć nie zawsze mówiła im co widziała w kartach, nie chciała im odbierać nadziei. Pamiętam, że wśród znajomych była pani z małym synkiem, który ciężko zachorował, przeżył trepanację czaszki. Pocieszała ją, ale jej nie powiedziała, że dziecko umrze, dopiero znacznie później mówiła, że widziała to w kartach.

Pod stałą jej opieką była rodzina Paradzińskich ze Lwowa, która zjawiła się w Toruniu z początkiem wojny. Mieli trójkę dzieci: Lucynę, Ryszarda i trzyletniego Franciszka, zwanego w rodzinie – Niuniuś. Po 2–3 latach rodzina ta została aresztowana i osadzona w obozie koncentracyjnym Potulice (zdaje się, że nie na tle politycznym tylko za jakieś przekroczenie przepisów czy rozporządzeń). Mama pojechała tam i zdołała uzyskać zwolnienie Ryszarda i Franciszka. Zabiegała także o zwolnienie Lucyny, ale dziewczyna ukończyła już 16 lat i nie chciano jej zwolnić. Na usilne nalegania powiedziano jej, że ma zabierać dzieci i wyjeżdżać, bo sama może trafić do obozu. Przywiozła dzieci brudne i zawszone. Franciszka po kilku dniach umieściła u bezdzietnej rodziny na pobliskiej ulicy Słowackiego. Ryszard przebywał u nas (nie pamiętam jak długo, chyba jednak nie do końca wojny), natomiast na obiady chodził do małżeństwa mieszkającego na ul. Mickiewicza, on był zdunem i chyba nieźle zarabiał, bo żona gotowała pyszne obiady, na które chodziłam z Ryszardem.

---

<sup>8</sup> Bogumiła mówi, że obok p. Wagnerowej mieszkała p. Muthe, ale nie wie czy była Polką. Miała małego pieska, którego bardzo lubiła i dzięki niemu również panią Muthe. Mama nie pozwoliła do niej chodzić, ale kiedyś poszły tam obie z Danutą.

Pamiętam, że jadłam tam po raz pierwszy w życiu gotowaną golonkę i nadzwyczaj mi smakowała, nawet tłuszcz.

Matka należała do AK (dowiedziałam się o tym dopiero po wojnie). Urodzona w Niemczech mówiła świetnie po niemiecku, posługiwała się również tzw. *Platdeutsch*<sup>9</sup>, tam ukończyła szkołę podstawową i dopiero jako 14-letnia dziewczynka przyjechała do Polski.

Dziadek Wojciech Pawlak, bardzo aktywny działacz polonijny w Westfalii, podczas pierwszej wojny światowej służył w wojsku niemieckim, na froncie francuskim. Uciekł z wojska i ukrywał się w lesie w pobliżu domu. Babcia posyłała mu żywność, którą zanosila mama w określone miejsce, mówiła jej, że to dla leśnej służby. Którejś nocy obudziła się i zobaczyła dziadka pochylonego nad nią. Żegnał się z nią przed odjazdem do Polski. Trafił do Grudziądza i tam w imieniu mieszkańców witał wkraczające wojska Hallera. W tym czasie babcia z mamą i jej młodszą siostrą Marią już do niego zdążyły dołączyć. Opowiadała, że na przyjęciu urządzonym dla kadry oficerskiej postawiono ją na stole i śpiewała patriotyczne piosenki. Miała bardzo piękny głos. Później, jako dorosła była solistką w toruńskim chórze „Lutnia”. Dzięki dużej odwadze i wręcz tupetowi potrafiła załatwić wiele spraw.

Nic konkretnego nie wiem o jej organizacyjnej przynależności, a nawet jaki miała pseudonim, przypuszczam jednak, że wykorzystywano ją do zadań specjalnych jako łączniczkę i kuriera, bo często jeździła, mimo, że Polacy musieli mieć na dalsze wyjazdy specjalne zezwolenia. Przypuszczam, że na takie podróże zaopatrywano ją w fałszywy dowód osobisty. Pamiętam, że jeździła do Chojnic, czasem zabierała też Dankę, nam mówiła, że celem odwiedzenia rodziny. Dziś bardzo mnie to dziwi, bo przed wojną z tą częścią rodziny były raczej rzadkie kontakty. Wtedy jednak przyjmowałam te jej tłumaczenia z całą wiarą. Do legendy rodzinnej szczególnie przeszedł jeden jej wyjazd do Gdańska. Na wybrzeżu mieszkała dalsza rodzina mamy<sup>10</sup>, jej kuzynowie pracowali w magazynach portowych. Mama wracając przybyła do Torunia nocą, już po godzinie policyjnej, kiedy nie chodziły tramwaje. Musiała przejść przez całe miasto, żeby dostać się do domu – odległość kilku kilometrów. Wiozła dużą ciężką walizkę wypełnioną odzieżą i żywnością wyniesioną z magazynów niemieckiej marynarki wojennej. Miała duże szczęście. Najpierw niósł jej ten bagaż żołnierz, potem oficer Wehrmachtu, wreszcie gestapowiec. Przez całą drogę opowiadała im, że jedzie od rodziny z Düsseldorfu, jakie są tam zniszczenia po ostatnich bombardowaniach

---

<sup>9</sup> Gwara.

<sup>10</sup> Po wojnie dowiedziałam się, że nazywali się Gonera, należeli do AK i byli zaangażowani w przerzutach do Szwecji.

i różne inne szczegóły, o których dowiedziała się z rozmów u rodziny. Jeden z tych „rycerzy” pochodził z tamtych terenów i był wzruszony, że rozmawia z naocznym świadkiem. Ostatni z nich doprowadził ją aż pod siedzibę gestapo na ul. Bydgoskiej, przeprosił, że niestety nie może już dalej jej towarzyszyć, ale zaraz przyśle kogoś kto doniesie walizę do domu. Bardzo podziękowała lecz wyjaśniła, że jest prawie na miejscu i już sobie sama poradzi. Dotarła do domu skrajnie wyczerpana fizycznie i psychicznie.

Dzięki doskonałej znajomości języka pisała też podania w różnych sprawach, załatwiała w urzędach sprawy dla rodziny i znajomych.

Nie zaniedbywała również spraw rodzinnych i wychowania dzieci. W domu mówiło się po polsku, tylko na korytarzu należało posługiwać się językiem niemieckim. Nauka po polsku odbywała się na zasadzie różnych opowiadań z historii, legend, biologii, pisania listów do ciotek i rodziny, itp., włączał się także Edmund<sup>11</sup>.

W domu nie było polskich książek, zostały ukryte na strychu w szczelinie między sufitem a dachem, gdzie przetrwały całą wojnę. Nie było też zorganizowanego tajnego nauczania, w warunkach Pomorza było to bardzo utrudnione dla małych dzieci. Wiem, że Edmund (ur. 1921) uczył się potajemnie, nie wiem jednak czy były to tajne komplety, lekcje języka francuskiego pobierał od kolegi Francuza, z którym pracował. Śpiewało się też polskie piosenki i patriotyczne pieśni. Kiedyś nawet *Jeszcze Polska nie zginęła...* Przybiegła przerażona pani Wagnerowa z wymówką, że te śpiewy dobrze słychać w jej mieszkaniu. Na to mama niewinnie odrzekła, że przecież musi sprawdzić czy dzieci pamiętają jeszcze polskie pieśni patriotyczne.

W teatrach były wystawiane bajki żywo i kolorowo, oczywiście po niemiecku. Już nie pamiętam, czy chodziliśmy na nie ze szkoły, czy mama gdzieś zdobywała bilety. Były to niezapomniane przeżycia. Po powrocie do domu urządzałyśmy domowe przedstawienia dla rodziny i znajomych, ale już w polskim języku. Robiło się scenę, ustawiało krzesła, kuluary były „za szafą pod łóżkiem”.

Dużo graliśmy też w karty, tzw. *konkena*. Uczestniczyli w tej zabawie wszyscy aktualnie znajdujący się w domu członkowie rodziny i znajomi. Nawet włączał się ojciec. W czasie wojny był bardzo przygnębiony. O ile mi wiadomo nie należał do konspiracji, wiedział jednak o działalności matki i na tym tle dochodziło między nimi do mniej lub bardziej gwałtownych sprzeczek, bo uważał, że jej działalność zagraża całej rodzinie (nad czym bardzo cierpiałam i ciągle się modliłam, żeby się pogodzili).

---

<sup>11</sup> Po wojnie, już w polskiej szkole, dziwiłam się jak dużo zapamiętałam z tych opowiadań.

Była to zresztą prawda, bo gdyby Niemcy wpadli na jej trop, na pewno wojny nie przeżylibyśmy. Jeśli jednak zachodziła potrzeba, ojciec robił różne skrytki na dokumenty, tolerował niespodziewanie pojawiające się osoby, które znajdowały u nas chwilowy azyl.

Krótko przebywało u nas dwoje dzieci<sup>12</sup>, wywiózł je do Warszawy wuj Teodor Grajek, przed wojną granatowy policjant w Toruniu, a podczas wojny w tym charakterze pracował w Warszawie. Został za to uwięziony przez Niemców. Dzięki jego różnym kontaktom i znajomościom rodzice otrzymywali trzykrotnie informacje o umieszczeniu rodziny na listach do wysiedlenia lub osadzenia w obozach<sup>13</sup>. Listy te były przygotowywane w urzędach i każdorazowo niszczone przez działających w konspiracji pracowników. W efekcie tych doniesień rodzice wysyłali nas do rodziny: Stefanię do Rybna, niedaleko Nowego Miasta, do siostry mamy Marii Kryzyment, opowiadała mi dużo później o różnych przygodach i złościwościach jakie razem z kuzynem Zdlichem robili Niemcom. Zapytałam ją już po wojnie czy się nie bała, mówiła, że nie – była tam daleko spokojniejsza. Mnie zabrała druga siostra mamy ciotka Helenka, wówczas już Jaworska, do Wąbrzeźna, czułam się u nich świetnie chodziłam nawet do szkoły, a po południu na spacer do parku z małą Basią, którą wozilałam w wózku. Pamiętam prośbę cioci, żebym nigdy nie wyjmowała jej z wózka. Przy ładnej pogodzie chodziliśmy nad jezioro i wuj Henryk Jaworski uczył mnie pływać. Często wypływał ze mną daleko od brzegu. Bardzo go lubiłam i miałam do niego zaufanie. W domu mieszkała niemiecka rodzina z dziewczynką w moim wieku, miała na imię Lotte, zaprzyjaźniłam się z nią i nawet, po jakimś dłuższym pobycie w Niemczech, przywiozła mi prezent w postaci kolorowych koralików, z których robiłyśmy różne ozdoby. Dankę na jakiś czas wysłano do wujostwa Zmyślonych<sup>14</sup> w Skępem, krewnych ze strony ojca, ale najczęściej pozostawała z rodzicami w Toruniu, została tylko odpowiednio poinstruowana jak ma się zachować, gdyby po powrocie do domu ktoś obcy otworzył jej drzwi. W Skępem ja również przebywałam jakiś czas. Nie najlepsze jednak kon-

---

<sup>12</sup> Według doc. Krystyny Podlaszewskiej, b. pracownika toruńskiej Fundacji, były to dzieci szefa sanitarnego Obwodu Toruń i Lipno Banasiaka, zginął po wojnie w wypadku motocyklowym podczas ucieczki przed aresztowaniem UB. Jego żona Halina Banasiak, nauczycielka tajnego nauczania i prowadząca punkt kontaktowy, podczas próby przekroczenia zielonej granicy została złapana, osadzona w Stutthofie, zginęła podczas „marszu śmierci” w czasie ewakuacji obozu.

<sup>13</sup> Informatorem był Oskar Dittmann, Niemiec przychylny Polakom i im pomagający (inf. doc. K. Podlaszewskiej).

<sup>14</sup> Dr Stanisław Zmyślony, lekarz internista wysiedlony z Torunia całą wojnę przebywał w Skępem z żoną Zofią i synem Zbigniewem, należał do AK, był bardzo czynny na tamtym terenie.

takty łączyły mnie z kuzynem Zbigniewem<sup>15</sup> i ciągle tęskniłam do domu. Danka lepiej się z nim porozumiewała. Miłka przebywała w Gniewkowie u wujostwa Rachuj, rodziny ze strony ojca. Prowadzili tam restaurację. Miłka świetnie się u nich czuła i przebywała tam aż do pójścia do szkoły w 1942. Jak mama twierdziła rozpuścili ją jak „dziadowski bicz”<sup>16</sup>.

To uporczywe umieszczanie nas na listach było prawdopodobnie wywołane staraniami Greisera, który pragnął zająć dla swych potrzeb całe 2. piętro. Przypuszczalnie skończyło się to, kiedy zachorowała jego szwagierka. Trafiała do szpitala, a po wyleczeniu przywieziono ją do domu w czasie nieobecności rodziny. Zadzwoniono do nas. Mama tłumaczyła, że jest Polką i nie ma prawa jej przyjąć i brać za nią odpowiedzialności, chora jednak prosiła żeby nie robiła trudności, że będzie jej bardzo wdzięczna i na pewno nic jej się nie stanie. Mama, jak zawsze troskliwa o chorych, umieściła ją w wygodnym fotelu, my dzieci otoczyliśmy ją i rozpoczęła się pogawędka. Wiadomości o umieszczeniu nas na listach ustały, ale z drugiej strony mama prosiła informatorów, żeby już jej nie zawiadamiano, bo zbyt wiele nerwów kosztowało to oboje rodziców.

Pamiętam również jedno zdarzenie świadczące o odwadze matki i trochę jej lekkomyślności. Kiedyś rozmawiała z Niemcem mieszkającym poniżej u p. Wagnerowej. W pewnym momencie zapytała go jak się obecnie rozpoczynają niemieckie bajki, oczywiście wiedział: – *Es war ein mal...*<sup>17</sup>, – *a jak będą się zaczynać po wojnie?* i uzupełniła – *SS*<sup>18</sup> *war ein mal...* Niemiec okazał się człowiekiem przyzwoitym i tylko ją prosił, żeby tego typu dowcipów nigdy nie opowiadała, zwłaszcza w obecności jego syna. Chłopak należał do Hitlerjugend, młodzieżowej organizacji wychowującej w skrajnie rasistowskich ideałach.

Jeszcze jedna „zmora” okupacyjnej rzeczywistości, to wzywania na przesłuchania przed komisję namawiającą Polaków do podpisania wniosku dla otrzymania niemieckiego obywatelstwa *Eingedeutsch*<sup>19</sup>. Wzywa-

---

<sup>15</sup> Po wojnie lekarz chirurg.

<sup>16</sup> Miła twierdzi, że do Gniewkowa została wysłana po pierwszym przesłuchaniu w *Tiwoli* (jakieś kasyno na ul. Bydgoskiej, blisko ul. Moniuszki), w którym uczestniczyła. Powiedziała mi również, co bardzo mnie zdziwiło, że kiedy w Gniewkowie wyszła na podwórze do dzieci i odezwała się do nich po niemiecku, dzieci były zdumione, a ciocia zapytała dlaczego mówi po niemiecku? Widocznie mniej tam podsłuchiowano i donoszono.

<sup>17</sup> Kiedyś był (lub żył, zdarzyło się, itd.)...

<sup>18</sup> SS-Schutzstaffeln (niemieckie oddziały ochrony).

<sup>19</sup> Całą ludność podzielono na 4 kategorie obywatelstwa: 1. *Reichsdeutsch* – dla Niemców z Rzeszy, 2. *Volksdeutsch* – polscy obywatele niemieckiego pochodzenia, 3. *Eingedeutsch* – Polacy najczęściej zmuszani do podpisania wniosku o niemieckie obywatelstwo, zwłaszcza rodziny, w których byli młodzi mężczyźni zdadni do służby wojskowej – odmowa często kończyła się obozem koncentracyjnym, wywiezieniem na roboty do Rzeszy, więzieniem), 4. Polacy, którzy odmówili przyjęcia niemieckiego obywatelstwa.

no rodziców kilkakrotnie, raz lub dwa razy z dziećmi. Chcieli sprawdzić czy mówimy po niemiecku i w jakim języku się modlimy, znałyśmy już modlitwę: *Vater unser der Du bist im Himmel...*<sup>20</sup> Przy ostatniej takiej wizycie zapytano ojca czy chce zostać Niemcem, ojciec odpowiedział: – *ich weiss nicht ob ich als Pole Deutsch werden kann*<sup>21</sup>. Niemiec się wściekł i kazał mu podpisać odmowę. Potem zwrócił się do matki, mówił, że urodziła się w Rzeszy, że dzieci są blondynkami i mówią po niemiecku i on gotów się z nią ożenić. Moja matka jednak odrzekła, że jeśli jej mąż chce pozostać Polakiem to ona również. Po tej wizycie, rodzice zdali sobie sprawę, że w każdej chwili mogą zostać aresztowani. Ojciec powrócił do pracy, natomiast matka wróciła do domu i szybko wyprawiła nas ponownie do rodziny.

Trudno mi chronologicznie datować te wszystkie wydarzenia. Pamiętam tylko, że po raz pierwszy wysłano nas do rodziny zaraz po pierwszej Komunii Świętej siostry Stefanii, która odbyła się w 1942. Zjechało dużo osób z rodziny i zaraz po niej wyjechałyśmy. Z tego sędzę, że wszystkie największe kłopoty zaczęły się od tego roku.

Muszę jeszcze wspomnieć, że mama ciągle miała kontakty z polskimi księżmi z naszej parafii Najświętszej Marii Panny. Zapamiętałam księdza katechetę Kowalskiego, który przygotowywał nas do pierwszej Komunii Św. Dzięki tym kontaktom otrzymywała z kościoła różną pomoc i chyba nawet polskie książeczki do nabożeństwa (ja otrzymałam w białej pięknej oprawie). Pamiętam, że kiedyś w kościele po nauce, ks. Kowalski sprawdzał te książeczki. Kiedy pokazałam mu swoją szepnął mi, że mam ją dobrze chować, bo to niebezpieczne. Oczywiście nauka odbywała się z języku niemieckim i to nie w oddzielnej salce, tylko oficjalnie w kościele.

Prawdopodobnie również w tym roku na Święta Wielkanocne byłam z rodzicami u wujostwa Zmyślonych w Skępem i tam mnie zostawili, ku memu ogromnemu niezadowoleniu. Wujostwo byli dla mnie bardzo dobrzy, ciocia Zosia bardzo kochana, wuj ciągle zajęty pacjentami. Dla niego robiło się papierosy, co polegało na napychaniu tytoniem tzw. gilz, było do tego specjalne urządzenie, a tych papierosów trzeba było przygotować bardzo wiele, bo zapach pacjentów wnoszony do lekarskiego gabinetu wuja był dla niego nie do zniesienia, więc ciągle palił. Opowiadał kiedyś, że przyszła do niego pacjentka z chorą nogą. Kazał jej zdjąć but i pończochę. Nie chciała, bo miała brudne nogi, wobec tego polecił jej przyjść ponownie. W czasie następnej wizyty noga była umyta lecz kiedy

---

<sup>20</sup> Ojciec nasz, który jesteś w niebie...

<sup>21</sup> Nie wiem, czy jako Polak mogę zostać Niemcem.

poprosił, żeby mu pokazała i tę drugą okazało się, że umyła tylko jedną nogę. Taki był stan higieny wiejskiej w owym czasie.

Wizyta ta zaowocowała późniejszymi częstymi wyjazdami do Skępego. Sądzę, że mama nawiązała przez wuja<sup>22</sup> kontakty konspiracyjne. Od początku wojny działała tam dobrze zorganizowana sieć, która z czasem została włączona w struktury ZWZ-AK, m.in. sekcja WSK pomocy społecznej<sup>23</sup>. Z odwiedzin w Skępem przywoziło się żywność. Początkowo jeździła mama lub rzadziej ojciec. Dla dorosłych były to bardzo niebezpieczne wyprawy. Kontrole na dworcach nie pozwalały na częste wyjazdy Polaków, którzy w tym celu musieli mieć specjalne zezwolenie urzędu z określeniem celu wyjazdu.

### Udział dzieci w konspiracji

Z powodu utrudnień w wyjazdach dorosłych, po pewnym czasie zaczęto wysyłać dzieci. Początkowo jeździłyśmy po dwie: Tita z Danką lub ze mną, albo ja z Danką. Titę szybko wyłączono z tych wyjazdów, była bardzo nerwowa, pewno wiele się domyślała, po nocach zrywała się z krzykiem. Dość szybko jednak zaczęłam jeździć sama.

Dankę mama wykorzystywała na miejscu w Toruniu, chodziła z jej poleceniami w różne miejsca, przeważnie z lalką, w której były różne konspiracyjne meldunki. Często oddawano jej zepsutą. Jedno takie zdarzenie zapamiętała Miłka, która kiedyś towarzyszyła jej gdzieś na ul. Słowackiego. Otworzył im mężczyzna, który zachwyił się lalką. Zapytał ją czy może pokazać lalkę pani, która jest obok w pokoju. Po chwili oddał jej lalkę zepsutą. Do dziś pamięta swoje oburzenie – *jak dorosły mężczyzna mógł zepsuć lalkę*. Danki zapewne już nie dziwiło oddawanie jej popsutych. Do naprawy zanosilo się je do „kliniki lalek”<sup>24</sup>, gdzieś na ul. Żeglarską lub Łazienną. Raz i ja tam byłam, zapewne mama chciała nas pokazać właścicielowi lokalu – kto będzie do niego zaglądał.

Do Skępego jeździło się po żywność, przeważnie był to drób, czasem również jajka, może i masło. Ojciec zrobił dwie specjalne skrzynki na jajka, różnej wielkości, z wieczkami przykręcanymi śrubkami. Żywność przydzielana przez Niemców na kartki była mało urozmaicona, racje niewielkie: chleb, marmolada z brukwi, trochę mięsa, mleko pełne dla małych dzieci, w naszym przypadku dla Miłki i odciągane dla reszty dzieci

<sup>22</sup> Dr S. Zmyślony należał do AK, patrz K. Wojtowicz, *MARYLKA opowieść konspiracyjna*, Kraków 2005, s. 26, 93, 118, 142-143, 146.

<sup>23</sup> Sekcję tę prowadziła Stanisława Sobocińska, matka Marii Sobocińskiej późniejszej komendantki Wojskowej Służby Kobiet – WSK Obwodu Lipno, (patrz jak wyż., s. 17, 19, 20, 25, 26, 28, 30-32, 34, 38, 39, 42, 44, 51, 55, 58, 83, 85, 97, 98, 106, 116, 121, 123, 124, 127-129, 131-134, 137, 138, 141, 142).

<sup>24</sup> Punkt kontaktowy AK.

(nie pamiętam co jeszcze), więc to dodatkowe zaopatrzenie było bardzo ważnym uzupełnieniem. Podróż pociągiem trwała ponad godzinę<sup>25</sup>. Zajeżdżało się do tzw. Samelstelle, prowadzonej przez p. Szczukowskiego<sup>26</sup>, Polaka z Gdańska, który w Skępem znalazł się z żoną, córką i synem. Był to punkt odbioru płodów rolnych – kontyngentów, przymusowo odstawianych przez rolników. Jeśli na dworcach były jakieś kontrole, to nawiązywałyśmy kontakt z prostym żołnierzem, opowiadało mu się, różne historyjki, że jedziemy do cioci, która szyje nam sukienki i podobne historie. Żołnierze chętnie opiekowali się dziećmi i pilnowali, żebyśmy wysiadły na odpowiedniej stacji. Szybko jednak byłam wysyłana sama. Z dworca do miasteczka było dość daleko. Szło się przez niezabudowane tereny i okrężało jezioro. Często wiał silny zimny wiatr, który uniemożliwiał wędrówkę. Bardzo marzłam i marzyłam o płaszczku z kapucą. Uszyto mi wreszcie taki płaszczek, z którego byłam bardzo dumna. Na ten cel poświęcono jedno z przedwojennych ubrań ojca. Płaszczek szył krawiec z ul. Bydgoskiej, prawdopodobnie również należący do konspiracji. Może miał jakieś ukryte tajemnice, zresztą jak i skrzynki na jajka, o których nic jednak nie wiem (po wojnie dowiedziałam się, że przewoziłam różne konspiracyjne meldunki i rozkazy).

Pan Szczukowski tak potrafił rozliczać zgromadzone zapasy, że pewna ich część trafiała do partyzantów i ludności cywilnej. Sądzę, że mama nawiązała z nim kontakty przez wujka dr Zmyślonego, który współpracował z sekcją opieki WSK Stanisławą Sobocińską (patrz przypis 23). Kiedy wreszcie dobrnęłam do Samelstelle, wchodziłam po schodach (wysoki parter lub 1. piętro) do kuchni obszernej, jasnej i cieplej, w której przeważnie przebywały pani Szczukowska z córką. Zabierano mi tornister (byłam z niego bardzo dumna, podarował mi go wujek Henryk Jaworski w Wąbrzeźnie) i płaszczek i częstowano pysznym śniadaniem. Nikt ze mną nie rozmawiał, więc się trochę nudziłam, kiedy jednak kiedyś wyraziłam ochotę odwiedzenia wujostwa – nie puszczono mnie. Byłam zdziwiona, ale posłuszna. Byłam dzieckiem zdyscyplinowanym i podporządkowywałam się poleceniom, co zresztą odróżniało mnie od Danki, bo ta zawsze miała własne zdanie i moc pomysłów. Może ta moja cecha zadecydowała, że to ja jeździłam do Skępego. Danką co prawda była o rok młodsza ode mnie, ale wyższa i silniejsza, podczas zabaw to ona była prowodyrem i pomysłodawcą, a ja wykonawcą.

Czy się bałam wyjazdów do Skępego? Właściwie nie!

Zawsze byłam przekonana, że nie może mi się stać nic złego. Pewnie mnie odpowiednio szkolono do tych wyjazdów, w dość zresztą specy-

---

<sup>25</sup> Przynajmniej dziś tak się jedzie.

<sup>26</sup> Patrz: K. Wojtowicz, *Marylka...*, s. 143, 146.

ficzny sposób, bo przypominam sobie, że jednego dnia, w mojej obecności, odbyła się rozmowa mamy z siostrą wuja Zmyślonego Wandą<sup>27</sup>. Mówiły o wypadkach aresztowania i rozstrzeliwania osób przyłapanych na przewożeniu nielegalnej żywności, w tym również dzieci.

Zdarzyło się kiedyś, że po dziedzińcu Samelstelle kręcili się wojskowi, jeden z nich był z żoną i małym synkiem. Dzieciak miał pomarańczę. Zafascynowana tym widokiem zesłam na dziedziniec w nadziei, że i mnie ktoś taki owoc ofiaruje. Szybko zauważono moją obecność i z powrotem zabrano do kuchni. Byłam rozgoryczona i mocno zawiedziona, choć domyśliłam się, że źle postąpiłam. Szczególnie mocno zapamiętałam jeden z wyjazdów. Zamiast jak normalnie wysłać mnie o odpowiedniej porze na dworzec, pan Szczukowski zapakował mnie do samochodu osobowego prowadzonego przez oficera Wehrmachtu<sup>28</sup>. Byłam przerażona. Nie śmiałam się ruszyć. Szybko jednak zatrzymał się przed sklepem żywnościowo – gospodarczym. Musiał mnie zapewne zachęcić, żebym mu towarzyszyła (po co? – nie wiem, ale dziś sądzę, że może chciał mnie komuś pokazać!). Na sklepowej ladzie stały pudła z fajansowymi kubkami, zabezpieczone drewnianymi wiórkami. Oficer je oglądał i kupił dwa, białe i bez skaz. Ja również zaczęłam oglądać te kubki, ale w gorszym gatunku, ze skazami i jakieś beżowo-bure. Kupiłam ich 6 sztuk, dla każdego członka rodziny po jednym, te wspólne zakupy nieco mnie uspokoiły. Pieniądze zapewne miałam na bilet kolejowy, choć zupełnie nie pamiętam, że na stacjach je kupowałam. Podróż do Torunia przebiegła w całkowitym milczeniu. Nie rozmawiał ze mną i nawet nie zapytał gdzie mnie zostawić. Kiedy wreszcie przyjechaliśmy, jadąc ul. Kraśnińskiego, wysadził mnie na wysokości ul. Lindego, niedaleko naszego domu. Byłam szczęśliwa kiedy się pożegnaliśmy, mimo, że miałam jeszcze kawałek do domu, a bagaż z okazji tej jazdy był wyjątkowo ciężki, no i dodatkowo te zakupione kubki.

Podróże do Skępego zawsze odbywały się samotnie z Dworca Mokrego (dziś Dworzec Wschodni). Nikt nigdy mnie nie odprowadzał ani nie odbierał. Raz jednak wychodząc zobaczyłam mamę czekającą na ulicy. Co za radość! Niestety trwała krótko, bo zabrała mi tylko bagaż i poleciła wracać do domu. Podróże te były częste lecz nieregularne, nieraz się dziwiłam, że w domu nie ma co jeść, a nikt mnie nie wysła<sup>29</sup>. Byłam zresztą bardzo dumna z zaopatrywania rodziny w żywność.

Wyjazdy moje odbywały się do późnej jesieni 1944. Kiedy jednak pociągi zaczęły nieregularnie kursować, na dworcach panowało spore

<sup>27</sup> Należała do AK i pracowała w pobliskiej aptece na ul. Mickiewicza.

<sup>28</sup> Według przypuszczeń prof. Elżbiety Zawackiej był to Marian Hegenbarth, inspektor Okręgowej Delegatury Rządu w Inowrocławiu.

<sup>29</sup> Zapewne było to podyktowane potrzebami konspiracji.

zamieszanie, a w pociągach częste kontrole, to przestano mnie wysyłać. Pamiętam ostatni powrót w towarzystwie cioci Zosi Zmyślonej i kontrolę, ale jakoś mało interesowano się naszym bagażem. Pomyślałam tylko sobie, że nie przyznam się do swojego tornistra, co było wielką naiwnością, bo wiadomo, że taki bagaż mógł być tylko własnością dziecka. Próba ponownego wysłania mnie z ciocią nie doszła do skutku, bo pociąg bardzo się spóźnił i już więcej nie ryzykowano<sup>30</sup>.

### Koniec wojny

Wielkimi krokami nadchodził koniec wojny. Front powoli zbliżał się do Torunia. Ulice zawałone wojskiem. Panowała groza, bo Niemcy zarządzili, że ludność cywilna ma opuścić miasto: kto się nie podporządkuje zostanie rozstrzelany. Rodzice postanowili jednak pozostać na miejscu. Mieli dość tułaczki z kampanii wrześniowej. Część naszych sąsiadów również pozostała, lecz niektórzy postanowili wyjechać. Panował ogromny mróz, była to wyjątkowo ostra zima. Po jakimś czasie niektórzy wrócili, głodni i wymarznęci. Opowiadali, że walki toczą się pod Toruniem, że nie mogli przedostać się dalej. Tymczasem w piwnicy przygotowano miejsca do dłuższego pobytu, zniesiono pościel, zapasy. Ta zwykle ponura piwnica, do której szło się zawsze ze strachem, dzięki oświetleniu i dużej ilości ludzi, stała się nieco przytulniejsza – przynajmniej mnie tak się wydawało.

W pobliżu naszego domu stały kolumny transportowe z rannymi. Wśród obsługi był jakiś daleki kuzyn mamy. Przychodził często do nas, ale najczęściej w towarzystwie niemieckiego kolegi, który bardzo go pilnował. Bał się, żeby nie uciekł, co zresztą było bardzo prawdopodobne, bo prosił mamę, żeby postarała mu się o jakieś cywilne ubranie. Dostarczali nam żywność – byli niezłe zaopatrzeni, pamiętam szczególnie całe pudło z czekoladą, które stało pod łóżkiem i do którego sięgało się za zezwoleniem lub bez. Pamiętam rozmowy dorosłych i ich obawy przed wojskami sowieckimi, mówiono też o walkach na froncie zachodnim. Ja w swej naiwności miałam nadzieję, że jednak wkroczą Anglicy z naszymi żołnierzami. Walk w samym mieście nie było, ciężkie zmagania toczyły się w lasach i okolicy. Komendant miasta wreszcie podpisał porozumienie i oddał je bez walki.

W dniu 1 lutego 1945 r. weszła Armia Czerwona.

---

<sup>30</sup> Konspiracja w Skępem była silna i dobrze zorganizowana. Wiem z powojennej literatury i z nawiązanych znajomości, że na dworcu w Skępem pracowały osoby zaprzysiężone. Przypuszczam, że obserwowano moje przyjazdy i odjazdy i dyskretnie się mną opiekowano.

### **Pierwsze dni po ustąpieniu Niemców**

*BOŻE – co za ulga, Niemcy odeszli. Już nie będą nas straszyć i wymagać postugiwania się ich językiem!*

Z tym językiem na początku było sporo wpadek. Mieszkańcy każdego domu zabrali się do oczyszczania chodników ze śniegu i nagromadzonych śmieci. Poszli też ojciec i Edek. Kiedy mama poprosiła mnie, żebym ich zawołała na obiad, wychyliłam się przez okno, bo byli tuż pod naszymi. Wiedziałam, że mam zawołać po polsku, ale pięcioletni nawyk utrudnił mi to zawołanie. Z pewnym ociąganiem, lecz wreszcie zdobyłam się na ten „akt odwagi”. W innym przypadku szłam z siostrami do kościoła. Od nas był to spory kawał drogi. Ja z jakiegoś powodu pozostałam nieco w tyle, więc zawołałam, żeby na mnie poczekały. Ku memu zdumieniu zawołałam odruchowo po niemiecku, bardzo się zawstydziłam. Mamę do rozpaczy doprowadzała nasza mowa, bo ciągle wtrącałyśmy słówka niemieckie, tępiła to bez miłosierdzia jeszcze podczas niemieckiej okupacji.

Jednym z pierwszych przeżyć nowej rzeczywistości był wiec na Rynku Staromiejskim. Poszliśmy całą rodziną. Z tych wszystkich przemów zapamiętałam tylko, że wkrótce zostaną otwarte szkoły.

*Co za radość będę uczyć się po polsku!*